Janina Łagoda

Przycinanie tego, co już było pod wyrachowane tezy tchnie fałszem, ale takie to rodzime perpetuum mobile. Inne państwa potrafiły się z tego wyzwolić, oddając należny hołd protoplastom i zarazem trafnie żeglują w przyszłość. Świat usiłuje zgłębić naszą duszę, lecz sobie z tym nie radzi. Unikając awantur skutecznie oblepia nas izolacyjną taśmą, jako tych, którzy w stylu bohatera z La Manchy bezustannie walczą o wysublimowaną wolność, niepodległość, suwerenność, równość etc., miast te wartości utrwalać, pielęgnować, bo chyba już je posiedliśmy w dostatecznym obrysie? Spór o niższości PRL-u wobec III RP przybiera dziwnie emocjonalne kształty. Nie sposób wskazać zwycięzcę, kiedy to i szale Temidy zgrzytają, zaś swarliwość ma się dobrze. Sprawujący władzę, omamieni żałobnymi myślami swego guru, żyją przeszłością, fascynując się gruzowaniem PRL-u, chociaż tam ich korzenie. Dorobili się narzędzi o pejoratywnym wydźwięku, jak lustracja, dekomunizacja, kombatanctwo, sprawiedliwość dziejowa, szatkowanie historii, etc., które ułatwiają uprawianie perfidii o niewyobrażalnych skutkach ubocznych.

Ćwiartowanie dziejów

Szczycimy się tysiącletnią historią państwa, ale jej rozdziały traktujemy z wybiórczą nonszalancją. Wystarczy spojrzeć na rozdygotaną amplitudę ocen ostatniego stulecia.
Rok 1918 eksplodował niepodległościowym entuzjazmem. Był to dar innych, ale i nasi światli politycy mieli w tym swój udział wzmocniony zwycięskim Powstaniem Wielkopolskim. Silny był to argument, zwłaszcza w granicznych targach. Po chwili euforii zaczęto spiętrzać problemy i przerzucać się frakcyjnymi zawiściami, marginalizując problemy wówczas ważące na przyszłości państwa. Górę wzięły zaściankowe swary z przerzutami na słabnącą międzynarodową pozycję Najjaśniejszej. W chwilę później nastała okupacyjna tragedia, która nie skłoniła rodzimych politykierów do wspólnoty czynów w imię walki z wrogiem. Mnożono kłótliwe platformy oraz podporządkowane im partyzanckie i armijne formacje, a wszystko to z dala od jedności. Pieniactwo skrzętnie wykorzystywała Wielka Trójka, ale okupant także (vide: Brygada Świętokrzyska).
Kres wojny i kolejna decyzja Możnych o geodezyjnych słupach i politycznym statusie Polski. Jednogłośnie oddano nas w pacht wschodniemu sąsiadowi. Alternatywy nie było. Pozostały tylko gabinetowe rozmyślania o poszerzaniu ram suwerenności, bo inny wariant był tożsamy z mnożeniem biologicznych strat już zawyżonych okupacyjnym mrokiem. Ta oczywista konstatacja winna dzisiaj stanowić motto każdej dyskusji o korzeniach powojennego i obecnego statusu Polski, jeśli nie chcemy lekceważyć historycznych faktów i czynić jedynego wzorca do naśladowania z tych nielicznych, którzy wówczas poszli w las. W PRL-u zawsze istniała szansa stopniowego rozciągania wolności, oczywiście do granic tolerowanych przez politycznego dozorcę. W przeciwnym razie groziła krwawica. Nie wolno więc w wiecowym stylu potępiać tych, którzy w tamtych latach podjęli trud odbudowy kraju – a to niemal cały naród. Dzisiaj zatem winien mieć status politycznego kombatanta, a nie jedynie elita wysublimowana wedle przewrotnych kryteriów. Tylko nieliczni kroczyli własną ideową ścieżką dzieląc wolność z więzienną celą. I takimi pozostali do dziś, stroniąc od imponderabiliów i innych materialnych apanaży. Wzdragają się też przed wystawianiem rachunków odrodzonej Rzeczpospolitej, bo w

czym ona zawiniła, aby musiała wykupywać weksle wystawione poprzedniczce.
Polska szkoła matematyczna wprawdzie ma się dobrze, ale rozwiązanie równania, w którym jedna z niewiadomych jest ideałem patriotycznego wysiłku, a druga jego materialnym równoważnikiem, to karkołomne zadanie. Co bardziej niecierpliwi, nie czekając na obrachunki uczonych, już zaczęli spieniężać enigmatyczne wierzytelności, hołdując nieobyczajnej parafrazie prezydenckiego zawołania o ojczyźnie dojnej... Smutny to obraz, zwłaszcza jeśli uzupełni się go torsami dekorowanymi wymyślnymi odznaczeniami za oburzanie się na własne państwo. W logicznym rozbiorze to droga odwrotna do marzycielskiego ideału.
Momentami odnosi się wrażenie, jakoby Polska przed chwilą wyłoniła się z popiołów, a świat uległ jej urokowi. Jest inaczej. RP nie zaczęła się w dniu 25 października 2015 roku, ale ta data rozpoczyna kurs ku autarkicznej egzotyce.
Nastała moda upraszczania historii Polski. Skrzętnie są skrywane fakty, a zwłaszcza ten, że o naszym statusie po 1990 roku również zadecydowali następcy darczyńców państwowości z roku 1945. Solidarnościowy zryw można, bez nadużycia, przyrównać do Powstania Wielkopolskiego, tym razem jako pokojowego czynnika nacisku na Gorbaczowa, Reagana, Kohla i innych możnych, wyznaczających nam nową perspektywę państwowego trwania. Ta oczywistość jest niewygodna dla rządzących, bo uzyskanie nowego statusu RP egoistycznie lokują na własnej piersi. Czas PRL-u przysłaniają sarkofagiem, na modłę czarnobylskiego, zapominając, że nie likwiduje on źródła promieniowania, a jedynie ogranicza jego ekspansję.
Nie wolno kuglować dziejowymi stygmatami, bo każdy z nich miał swoją konotację, zaś analizy trwają. Ale politycy rządzącej partii w niepokoju biegną na przełaj ku wygodnej jednoznaczności. Współgra z tym skonstruowany przez nich instrument zwany Instytutem Pamięci Narodowej (IPN). W jego założycielski fundament został wbudowany papierowy urobek służb specjalnych PRL, a to szrapnelowa amunicja, która wyrwana ze strzeleckiej prowadnicy wieszczy dramat. W innych państwach tego rodzaju dokumenty leżakują w zaryglowanych sejfach - dla dobra doczesnych interesów państwa. U nas musi być inaczej.
Czas PRL, ale i coraz częściej III RP rządzący traktują jako przedłużenie okupacyjnej nocy, zaś ci, którzy wówczas robili uniwersytet, a nie partyzantkę, jak to lapidarnie ujął prof. Al. Gieysztor (1916-1999), dzisiaj są mierzeni kolaborancką miarą. Z drugiej strony nie sposób sobie wyobrazić kraju, aby cały naród w zgodnym rytmie podjął - w proteście do decyzji Mocarzy - konspiracyjną służbę przeciwko własnemu państwu. Jeśli tak, to w jakim punkcie bylibyśmy dzisiaj? Zasypywanie powojennego czasu, to bezskuteczny mozół. Historyczne fakty zwyczajnie trwają, jak legat wyryty w kamiennym głazie.
Zmartwieniem władców jest to, że zrzucenie powojennej politycznej szaty nastąpiło ewolucyjnie. Oszczerstwa kierowane pod adresem wówczas administrujących krajem brzmią tak, jakby ich autorzy preferowali rezygnację z tamtej delikatnej swobody. Zbrakło rewolucyjnej tragedii. Niedosyt rządzący kompensują frontalnym atakiem na PRL, nie bacząc na to, że czynią afront wobec Mocarzy, którym znów przyszło się o nas troszczyć i to zaledwie po dwóch latach dobrej zmiany. Dorastanie do samodzielności przychodzi nam z trudem.

Pełzająca lustracja

Obsesyjnym narzędziem zerowania PRL-u i upokarzania obywateli oraz wykazywania perfidii służb specjalnych tamtego systemu stała się lustracja (łac. lustratio – przegląd, wgląd). Dobra zmiana zintensyfikowała to narkotyczne szaleństwo, podkręcając nieuczciwe dywagacje o przeszłości. Odsłanianie tajemnic alkowy jest znakomitym kąskiem dla innych państw, które

garściami czerpią z naszej zawistnej bezinteresowności. Nie muszą trudzić się agenturalnymi podchodami, wystarczy analizować medialne doniesienia, aby posiąść interesującą wiedzę i w stosownych okolicznościach użyć ją przeciwko nam.
Zatrwożone tym obłędem winny być przynajmniej króliczo rozmnażające się służby specjalne, ale chyba i je opuściła refleksja. A przecież od zarania dziejów metody działania tajemnych służb są takie same. Tam, gdzie służby, tam i osobowe źródła informacji. Dlatego też rozsądni władcy czynią wiele, aby je nie dekonspirować. Nasi decydenci położyli na stole biogramy tych, którzy w impulsach różnie motywowanych podjęli niejawną ryzykowną pracę wspomagającą państwo. W lustracyjnym bezsensie prześwituje krótkowzroczność i przede wszystkim brak empatii wobec czynnych agentów, a wśród nich zapewnie niejeden był zakotwiczony w dawnych czasach.
W polityce zarządzania strachem wybiórcze traktowanie wspólników służb staje się normą. Wymowną tego próbką jest lustracyjny taniec wokół Wolfganga, jego żony i jej zastępcy w Trybunale Konstytucyjnym RP. Bardziej smakowitego dania dla zagranicy nie sposób wypichcić. Przypuszczać należy, że nasz berliński dyplomata, ale i pozostali mu bliscy nie narzekają na brak ostracyzmu.
Ciekawość treści dokumentów służb specjalnych jest ogromna. Beczkę Pandory łatwo otworzyć, zaś ogarnięcie skutków tego czynu, to robota Syzyfa. Oczywistością jest też i to, że służby zdobywają informacje balansując na wątłej linie prawa, ale czy politycy RP muszą uprawiać aż tak ekshibicjonistyczną politykę? Truizmem jest wzmiankowanie, że podstawowym narzędziem pracy służb był i pozostanie człowiek. Technika operacyjna to ważkie wsparcie dla nich, ale bez udziału człowieka odczyt jej mechanicznych ustaleń, to martwa natura. Dlatego też w interesie państwa jest położenie kresu lustracyjnym hołubcom. Na marginesie rodzi się pytanie: dlaczego w naszym kraju osoby niejawnie wspomagające legalne organy państwa są napiętnowane w zakrętach historii?

Mechaniczna dekomunizacja

Dekomunizacja rozumiana jako usuwanie wpływów doktryny komunistycznej, została w rodzimym wydaniu ściśle zbratana z lustracją.
W praktyce są to dwie strony tego samego problemu o rozległych pojęciowych wyznacznikach. Wygodna to opcja w donkichotowskiej walce z mitycznym u nas komunizmem (łac. wspólny, powszechny), którego początki tkwią m.in. w rozmyślaniach Platona (427-347 p.n.e.). Po dziejowych modyfikacjach komunizm wcale nie trafił do lamusa. Nadal pulsuje w świecie z różnymi odcieniami. Nie jest on obcy przykładowo Hiszpanom, Grekom, Cypryjczykom, Irlandczykom, Francuzom, Portugalczykom, Rosjanom, Czechom, Bułgarom, i in., gdzie partie komunistyczne mają w niektórych krajowych parlamentach swoje reprezentacje, a nawet sprawują władzę, jak przykładowo w Chinach. Pierwszego sekretarza KPCh niedawno gościł prezydent RP, a i sam wcześniej składał wizytę szefowi Państwie Środka.
Nasi prawi i sprawiedliwi wyborczy zwycięzcy usiłują w demagogicznym posłannictwie traktować czas PRL-u jako inkubatorowy przykład państwa komunistycznego. Nigdy nim nie było, a co najwyżej usiłowało niezdarnie budować socjalizm i to bez skutecznego realizacyjnego projektu. Tylko dlatego, aby pozostawać w zgodzie z ideologicznym wschodnim powiewem zagwarantowanym nam, jak już wspomniano, powojenną decyzją Wielkiej Trójki.
Pod enigmatycznym hasłem dekomunizacji, rządzący usiłują obtaczać realność fikcją, a wszystko po to, aby w tym absurdzie pastwić się nad poprzednikami i obwiniać ich za wszelakie

zło, które rzekomo zniweczyło drogę Polski ku potędze. Duma, to ważki przymiot pod warunkiem, że nie pozostaje pustosłowiem.
Dekomunizacyjny mechanizm w całości zasadza się nie na intelektualnym dyskursie w obrębie tej filozoficznej teorii, lecz na bezrefleksyjnym fizycznym niszczeniu jej rzekomych materialnych śladów wytropionych na obszarze RP, a prowadzących do Moskwy. Prymitywna to rozprawa z przeszłością, ale trafia do wyobraźni elektorskiej gawiedzi rządzącej partii. Najprościej więc atakować bezbronne pomniki, mogiły, nazwy ulic, obiektów publicznych etc., pogłębiając już i tak zrujnowane sąsiedzkie relacje ze wschodnim mocarstwem, a pośrednio także z innymi, którzy dostrzegają korzyści dla własnego państwa w kontaktach z Rosją (np. Węgry, Słowacja, RFN).
Przykre i niebezpieczne jest to, że panujący oligarchowie, pogrążeni w zawistnym amoku zapomnieli o czasie okupacji i nazistowskim programie ostatecznego rozwiązania polskiej kwestii. Lekceważy się fakt, że Związek Radziecki był konglomeratem narodów, które dzisiaj funkcjonują w samodzielnych państwach. Na polskiej ziemi i w naszej sprawie poległo obok Rosjan wielu Białorusinów, Litwinów, Ukraińców oraz innych obywateli radzieckiego państwa. Zatrważa to, że umysły rządzących uprawiających manifestacyjną pobożność, gwałtownie opuścił ewangeliczny kanon wdzięczności. Na radzieckiej/rosyjskiej ziemi i w innych miejscach globu są też kurhany ze szczątkami naszych rodaków i pamiątki z Polską i Polakami związane. Nie chciejmy, aby spotkał je jakikolwiek despekt. Pora chyba zaprzestać uprawiania funeralnej polityki, bo ona ma też dwa końce.

Kombatanctwo

Definicja kombatanta w polskich warunkach ulegała metamorfozie. Zwiększył się dystans do klasycznego pojmowania wiarusa jako tego, który orężem bronił ojczyzny przed zaborcą lub bliskim mu agresorem - okupantem. Sporo obrońców poległo, ale równie wielu doczekało dnia wolności. Ich życiorysy zawsze prowokowały polityków, którzy usiłowali zakląć je w diagramach wyborczego odczytu. Polemiki nie stygną, a konsensus stał się towarem deficytowym. Ostały się jedynie nieprzejednane szańce i IPN-owskie wykopki spowite polityczną maligną. Rodzimi politycy nie byliby sobą, gdyby jednych nie obdarowywali pomówieniami o zdradę, a drugich bezgraniczną kordialnością. Zastosowali wobec nich cepowe kryterium: walczyłeś pod flagą czerwoną-aliancką, to źle, ale pod zachodnią-aliancką, to jesteś patriotą.
I w jednym, i drugim przypadku nasi żołnierze realizowali strategiczne cele mocarstw, które dopiero po korzystnych dla nich kalkulacjach decydowały o naszej przyszłości. Nie sposób więc pojąć kryteriów różnicowania zasług rodaków, tych spoczywających pod Monte Cassino i Lenino, choć oni w swej większości byli zesłańcami.
Jaką więc katorgę muszą przeżywać bliscy, kiedy to jednego z synów pochłonęła włoska, a drugiego rosyjska ziemia, a obydwaj wyszli w nieznane z tej samej syberyjskiej ziemianki? Wytłumaczenie mściwości rządzących może być tylko jedno: wszystko, co ma związek ze wschodnim mocarzem, to komunizm i zdrada. Bardziej naiwnej konstatacji nie sposób sformułować i to po blisko 80. latach od wrześniowej klęski. Władcy lekceważą przeszłość, przyjmując pozę jedynych pomazańców dzisiejszego statusu Rzeczpospolitej. Nie dopuszczają myśli, że w 1945 roku i u schyłku lat 80. ubiegłego wieku była to życzliwa decyzja Kremla, Londynu, Waszyngtonu, Watykanu z ważkim dodatkiem głosu Paryża, Berlina i innych stolic. Otrzymaliśmy prawo do swobodnego meblowania mieszkania i układania po nowemu dobrosąsiedzkich przyjaźni.

Darowaną wolność w mgnieniu oka nasyciliśmy gmatwaniną dysydenckich zasług i podejrzeń o kolaboracyjne postawy. W tej panoramie znaleźli się również kombatanci. Duch spłodzonej w 1991 roku ustawy o ich statusie i późniejsze korekty, to przykre świadectwo pospolitej segregacji i znęcania się nad bezbronnymi. Urzędnicze, w tym IPN-owskie sposoby badania stężenia błękitnej krwi z zastosowaniem partyjnych odczynników, budzą niepokój, ale finansowe gratyfikacje i inne wyróżniki czynią swoje, korodując okopową wspólnotę, z przerzutami na lustracyjne sito. Dotknęło to też współczesnych weteranów tzw. wojennych pokojowych misji. Tym razem nie dzieliła ich flaga, bo była oenzetowska lub natowska spowita polską, lecz ideologia podbudowana zakamarkami życiorysów co niektórych żołnierzy. Więcej szkody dla koszarowej wspólnoty uczynić nie sposób.
Jeśli topnieją zastępy wojennych komilitonów, to się sięga po surogat. W tym przypadku tzw. represjonowanych, którzy na modłę szańcowych walecznych dorobili się ustawy z 2015 roku o działaczach opozycji antykomunistycznej. W niej również zatrzęsienie subiektywnych kryteriów stygmatyzujących opozycyjność. Kolejny to duch dobrej zmiany wbijający się klinem w monolit społecznej tkanki.
Szokuje, że w ten dyferencjalny proceder gruntowania społecznych podziałów wpisuje się m.in. Porozumienie (sic!) Organizacji Kombatanckich i Niepodległościowych, jak i Ogólnopolskie Stowarzyszenie Internowanych i Represjonowanych. Okazuje się, że honor dawnego braterstwo walki blednie w czasach swobody pod natłokiem personalnych potyczek, a ci którzy pozostali na polu walki są służebnie wykorzystywani. Perfidia, to delikatne określenie.

Sprawiedliwość dziejowa, społeczna, historyczna…, czyli zemsta

Definicja sprawiedliwości, to dla uczonych nadal problem, ale nie dla zwycięskiego establishmentu strojnego w szaty Katona, który pojęciowe zawiłości przykrył zemstą. Diaboliczny to alians rozbłysku dobrej zmiany z przyciemnianiem Peerelu. I nie byłoby nic zdrożnego w tych optycznych zawiłościach, gdyby nie stał za tym sponiewierany człowiek, który z racji metryki dzisiaj staje przed plutonem egzekucyjnym. Na usta cisną się słowa A. Asnyka (1838-1897): daremne żale – próżny trud. Bezsilne złorzeczenia!
Mściwość prześcignęła cywilizacyjne standardy. Wybrano prostacki wariant odwetu na aktywnych w tamtych latach. Dzisiaj są to osoby u emerytalnego schyłku, ale o sporych zasługach dla intelektualnego i materialnego statusu dzisiejszej RP. Miast szacunku doznają upokorzeń, także w konfiskacie emerytalnych groszy. Listę oczywiście otwierają byli funkcjonariusze służb specjalnych PRL, w tym co niektórzy milicjanci, ale i żołnierze określonych armijnych formacji. To prymitywny odruch satysfakcji rządzących w upokarzaniu tych, którzy kiedyś wypełniali swoje powinności wobec państwa. Lekkomyślna taktyka zemsty stała się znakiem firmowym rządzących. Zauroczył ich rewanżyzm, którego ubocznym skutkiem jest wzniecanie nieufności obywateli do państwa, w tym także czynnych funkcjonariuszy służb, policjantów, żołnierzy, ale i prokuratorów, sędziów, dyplomatów, uczonych, pracowników administracji państwowej etc.
W konstrukcji obywatelskiego monolitu, to oszałamiająca niedorzeczność, podcinająca przysłowiową gałąź. Praktykowana odpowiedzialność zbiorowa w politycznym kontredansie ma się dobrze, mimo uwag międzynarodowych instytucji. Dla Nowogrodzkiej najważniejszy jest rynek wewnętrzny. Utarg z tego targowiska, jak dotąd, jest niezły, ale zawsze wisi nad nim groźba dekoniunktury, a nasz odwieczny sen o potędze najczęściej przerywała niewola i kolejna batalia o niepodległość, wolność, kształt granic itd. Uwielbiamy klęski, które bezgranicznie

czcimy, pozostawiając ugorem wnioski z nich płynące.
Jest problem, kto i wedle jakich procedur ma wymierzać sprawiedliwość dziejową, bo chyba nie mędrcy z warszawskiej Nowogrodzkiej (siedziba PiS), Batorego (MSWiA) czy Alei Ujazdowskich (Ministerstwo Sprawiedliwości), zniewalający sądownictwo i czyniący z PRL-u tarczę strzelniczą, w którą trafiają przeróżnymi bełtami. Dla rządzących niedawny czas to tabula rasa. Był, a jakoby go nie było, parafrazując słowa Jana Kochanowskiego (1530-1584).

* * *

Zwichrowane prostactwem murale rysowane na Peerelu, to nieszczęsny sztych. Tamten malarski grunt był solidny i z godnością prześwituje w materialnym, intelektualnym, ustawodawczym, granicznym statusie dzisiejszej RP. Dorobek Ludowej Polski stał się wojennym łupem, a nie narodową drogocennością. Ten obrazoburczy stosunek do Peerelu jest kontynuowany. Sentencja autorstwa J. Piłsudskiego (1867-1935), że naród, który nie szanuje swojej przeszłości, nie zasługuje na przyszłość, okazał się pustym zawołaniem, ale przyjemnie komponującym się w tekstach dzisiejszych polityków, w tym prezydenta RP inaugurującego w dniu urodzin Naczelnika, setną rocznicę odzyskania niepodległości. Zapomniał wszak, że pod wersalskim traktatem pokojowym podpisy złożyli: Paderewski i Dmowski. Ale z nimi jest problem, bo z trudem wpisują się w populistyczne historyczne rekonstrukcje.
Prezydent ma problem z chronometryczno-niepodległościową interpretacją 100-lecia niepodległości. Po drodze i okupacja, Peerel, III RP (do 2015 roku?). Naiwne są też sugestie, że gdyby przy mediacyjnych stołach zasiadali negocjatorzy dobrej zmiany, bylibyśmy dostatni. Problem w tym, że nas nie dopraszano. Pora więc zaprzestać baśniowych urojeń i biczowania poprzedników. Urobek PRL-u to założycielska ostoja dzisiejszej RP. A jej pomyślność, to roztropność dzisiejszych władców.

Janina Łagoda